

Dlaczego nie chcę być łowcą grantów

Z zainteresowaniem prześledziłem dyskusję nt. „łowców grantów”, która odbyła się na łamach „PAUzy Akademickiej”. Jako młody naukowiec i, *volens nolens*, „łowca” chciałbym przedstawić moją perspektywę. Aby nie być poświadczonym o resentment, nadmienię, że sam byłem kierownikiem jednego grantu i wykonawcą w dwóch innych.

Zgadzam się z oceną, iż realizacja kilku grantów naraz negatywnie wpływa na jakość nauki. Nie oznacza to oczywiście, że każdy, kto realizuje kilka projektów jednocześnie, jest na bakier z etyką. Słusznie zauważa prof. Hołyst („PAUza Akademicka” 336), iż jeden badacz może z powodzeniem prowadzić 6 grantów, podczas gdy inny nie da sobie rady nawet z jednym. Nie uważam jednak, żeby można było na tej podstawie stwierdzić, że ten pierwszy jest lepszym naukowcem od drugiego – to raczej wypadkowa zdolności, umiejętności prezentacji, popularności danej dziedziny i po prostu szczęścia.

W łowieniu grantów można się wyćwiczyć i jest ważne, aby naukowcy umieli „sprzedać” swoje badania. Dopóki stanowi to dodatek do pasji naukowej, to tylko się cieszyć. Gorzej, gdy robi się z tego sztuka dla sztuki. Kluczowe jest tutaj rozróżnienie pomiędzy nauką jako taką, a karierą naukową. Trafnie podsumował je prof. Andrzej Kajetan Wróblewski w odpowiedzi na larum dotyczące niewielu polskich sukcesów w konkursach ERC: „Celem nauki nie jest zdobywanie grantów, lecz poszukiwanie prawdy o świecie”.

W zamyśle powinno być tak, że człowiek ma pomysł i następnie występuje o grant, który umożliwi mu jego realizację. W praktyce często dostosowuje się projekt do wytycznych konkretnego programu. Łagodna wersja oznacza, że spośród wielu pomysłów wybiera się ten, który ma największą szansę sukcesu, rezygnując z odważniejszych i bardziej ryzykownych. Wariant ekstremalny oznacza „granciarstwo” jako pracę na pełen etat. Jego jaskrawym przejawem była niedawna afera dotycząca wyłudzenia milionów złotych z NCN.

Taki stan rzeczy nie wynika bynajmniej z merkantylizmu młodych naukowców. Chyba nikt, kto obiera ścieżkę naukową, nie kieruje się względami finansowymi. Pensje naukowców są niskie i to nie tylko na tle krajów zachodnich. Jeśli, jak ostatnio usłyszałem w radiu, lekarze postulują, aby młody medyk po stażu zarabiał 3 średnie krajowe, to dlaczego doktor matematyki czy historii miałby dostawać 10 razy mniej?

Jest tajemnicą poliszynela, iż większość naukowców w Polsce dorabia na boku. Zwykle mówi się o tym w kontekście wieloletowości i prowadzenia zajęć poza uczelnią macierzystą. Jednak równie niepokojącym zjawiskiem jest dorabianie do pensji z grantów. W Polsce utrwalił się dziwny pseudokapitalistyczny system, w myśl którego naukowcy mogą mieć niskie pensje podstawowe, bo ci zdolni dobijają sobie z projektów.

W początkowej fazie kariery bardzo dużo zależy od zdolności „łowczych” promotora. Nawet w indywidualnym grantcie *Preludium* NCN liczy się dorobek szefa (tu widać dobrą tendencję – tylko 10% punktów w edycji 11 wzglę-

dem 20% w edycji 5). Świeżo upieczeni magistry będą więc szukać raczej takiego promotora, który umożliwi im błyskotliwą karierę naukową, niż takiego, który robi ciekawe z ich punktu widzenia, ale mało popularne badania. Oczywiście, to tylko tendencja – są szczęśliwcy, którzy pogodzą pasję naukową z karierą, jak i tacy, którzy postawią na niszowe dziedziny mimo wszystko. Niestety, dla tych drugich nierzadko będzie to oznaczać być albo nie być w nauce po kilku latach zmagania.

Uzyskanie grantu w dużym stopniu determinuje możliwość prowadzenia badań. Doktorant bez dodatkowych apanaży niewiele może: matematykom brakuje na wyjazd, biotechnologom na odczynniki, a filologom nawet na materiały biurowe. Zastryk finansowy z grantu umożliwia w miarę normalne funkcjonowanie na równi z kolegami z Zachodu.

Po pierwszym projekcie, wszystko jedno czy własnym, czy od promotora, jest już prościej. Obowiązuje proste prawo serii: żeby dostawać granty, trzeba dostawać granty. Bo granty w Polsce przydzielane są w nagrodę. O ile w *Preludium 11* dorobek kierownika to tylko 10% oceny, to w *Sonacie* już aż 40%. Zaś w ministerialnym programie *Iuventus Plus* młody adept nauki jest najpierw brutalnie przeliczany na punkty, a meritum jego projektu gra rolę dopiero w drugim etapie.

Nic zatem dziwnego, że istnieje silna korelacja pomiędzy „dobrym łowcą” a „dobrym naukowcem”. Skuteczni łowcy po prostu mają dużo większe możliwości, a pierwsze udane polowanie daje im fory.

Jestem daleki od twierdzenia, że wszystkim naukowcom należy dać po równo z państwowej kasy. Powinno się wprowadzać zasady zdrowej konkurencji i oceniania „po owocach”, ale trzeba przy tym pamiętać, że sama publikacja to jeszcze nie owoc, a rzeczywisty „impact factor” danych badań często można ocenić dopiero z perspektywy czasu. Warto zachęcać naukowców do podejmowania odważnych projektów, wkalkulowując w to fakt, że część z nich okaże się ślepym zaułkiem.

Jak to zrobić w praktyce? Zmienić system u samych podstaw. Chwalimy się wysokim odsetkiem studentów i doktorantów, ale, jak pokazuje choćby ostatni raport NIK nt. studiów doktoranckich, nic dobrego z tej masowości nie wynika, ani dla naukowców, ani dla finansującego ich społeczeństwa. Na studia doktoranckie (magisterskie zresztą też) powinno być trudno się dostać, na asystenturę jeszcze trudniej, a profesura winna być udziałem jedynie najwybitniejszych. Ale tym, którzy już dostaną pracę na uczelni, zapewnimy godziwe honoraria i odpowiednie zaplecze do prowadzenia badań. Do tego stwórzmy nagrody dla wybitnych i niech będą one wysokie. Konkursy grantowe oczywiście nadal powinny istnieć, ale niech to będą faktycznie pieniądze na badania: zakup aparatury, współprace międzynarodową, zarządzanie projektem czy zatrudnianie nowej kadry – jednak już bez dodatkowych honorariów za pracę naukową. Wówczas, jeśli ktoś da radę prowadzić kilka projektów naraz, to tylko mu przyklasnąć i dać nagrodę za pracowitość.

MICHAŁ ECKSTEIN

Instytut Fizyki
Uniwersytet Jagielloński